

ALBATROS

KOZIOŁ OFIARNY

Daphne
du Maurier

Autorka słynnej *Rebeki i Ptaków*
Muza Alfreda Hitchcocka

Tytuł oryginału:
THE SCAPEGOAT

Copyright © Daphne du Maurier 1957
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Magdalena Słysz 2016

Redakcja: Jerzy Lewiński

Projekt graficzny okładki: Kasia Meszka

Ilustracje na okładce: Liudmyla Balitska/Shutterstock (*plama akwareli*);
korkeng/Shutterstock (*test Rorschacha*)

ISBN 978-83-6751-245-9

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Konwersja do formatu ...

...

...

1

Zostawiłem samochód przy katedrze i zszedłem po schodach na Place des Jacobins. Wciąż lał deszcz. Nie ustawał od czasu, gdy wyjechałem z Tours, i w krajobrazie, który tak uwielbiałem, widziałem jedynie lśniąca nawierzchnię *route nationale** i rytmiczne wahadłowe ruchy wycieraczek.

Za Le Mans depresja, w którą popadłem dwadzieścia cztery godziny wcześniej, jeszcze się pogłębiła. To było nieuniknione w ostatnich dniach urlopu, zawsze tak się działo; tym razem jednak miałem jeszcze bardziej dotkliwą świadomość, że czas płynie zbyt szybko, nie dlatego, że dni były pełne wrażeń, ale dlatego, że niczego nie osiągnąłem. Notatki sporządzone przeze mnie na wykłady, które miałem prowadzić nadchodzącej jesieni, były błyskotliwe, pełne dat i faktów; te należało jedynie ubrać w język, który by wznicił iskrę w przymglonych umysłach nieuważających studentów. Ale nawet gdyby udało mi się przykuć ich ulotną uwagę na krótkie pół godziny, po zakończeniu wykładu powinienem mieć świadomość, że nic, co powiedziałem, nie ma dla nich żadnej wartości, że ofiarowałem im tylko pokolorowane obrazki z historii – postacie z wosku, lalki dumnie występujące w farsie. Umknie mi

* *Route nationale* (franc.) – droga krajowa.

bowiem prawdziwe znaczenie historii, ponieważ nigdy nie byłem wystarczająco blisko ludzi.

Łatwo też było się zagubić w przeszłości na wpół rzeczywistej, a na wpół wyimaginowanej i stać się ślepym na teraźniejszość. W dobrze znanych mi miastach, takich jak Tours, Blois, Orlean, pogrążyłem się w fantazjach, widząc inne mury, starsze ulice, kruszące się rogi niegdyś okazałych fasad, które stawały się dla mnie bardziej rzeczywiste niż jakikolwiek prawdziwy obiekt architektoniczny przesuwany się przed moimi oczami, ponieważ ich cienie dawały bezpieczeństwo, podczas gdy w ostrym świetle rzeczywistości były jedynie wątpliwości i lęk.

Gdy w *château* w Blois dotykałem poczerniałych od dymu murów, tysiące ludzi mogłoby cierpieć męki kilka metrów dalej, a ja w ogóle nie zwróciłbym na to uwagi. Dlaczego? Bo obok mnie stałby Henryk III, wyperfumowany i w klejnotach, który kładłby mi na ramieniu dłoń w rękawiczce, z pieskiem pokojowym na ręku, jakby trzymał małe dziecko; fałszywy urok jego przebiegłej, zniewieściałej twarzy był dla mnie bardziej wyraźny niż maska gapiącego się turysty tuż obok, który gmerał w papierowej torbie, szukając słodczy, podczas gdy ja czekałem na dźwięk kroków, okrzyk, śmierć księcia Gwizjusza. W Orleanie przejechałem obok Dziewicy, czy jak Bastard podawałem jej strzemię, kiedy wsiadała na konia, i jak on słyszałem zgiełk, krzyki i głęboki dźwięk dzwonów. Mogłem nawet uklęknąć przy niej podczas modlitwy, czekając, aż usłyszę głosy, które czasami dźwięczały gdzieś na obrzeżach mojego słuchu, ale nigdy wyraźnie. Później, potykając się, wychodziłem z katedry i spoglądałem na swojego giermka jej czystym, fanatycznym wzrokiem, bliski jej niewidzialnego świata, a potem nagle przenosiłem się z tamtych czasów w teraźniejszość, gdzie Dziewica była tylko posągiem, ja obojętnym historykiem, a Francja, za którą oddała życie, krajem zamieszkiwanym przez ludzi, mężczyzn i kobiety, których nigdy nie próbowałem nawet zrozumieć.

Gdy ostatniego ranka wyjechałem z Tours, niezadowolenie z wykładów, które miałem wygłosić w Londynie, i świadomość, że jedyne, co robię w życiu, nie tylko we Francji, lecz także w Anglii, to obserwuję ludzi, a nigdy nie uczestniczę w ich szczęściu ani cierpieniach, wywołały u mnie takie obezwładniające przygnębienie, spotęgowane jeszcze deszczem zacinającym w szyby samochodu, że dotarwszy do Le Mans, zatrzymałem się tam na lunch, choć nie miałem wcześniej takiego zamiaru, bo liczyłem, że coś poprawi mi nastrój.

Był to dzień targowy. Na Place des Jacobins, tuż przy schodach prowadzących do katedry, parkowały ciężarówki oraz wozy z zielonymi plandekami, a na samym placu stały obok siebie stłoczone stragany. Musiał to być jeden z popularniejszych targów, bo było tam pełno wieśniaków, w powietrzu zaś unosił się nieomylny zapach warzyw i bydła, który mógł pochodzić jedynie z ziemi, czerwono-brązowej, lepkiej i wilgotnej, a także z parujących zagród, gdzie w wymuszonym braterstwie niespokojnie stały stłoczone zwierzęta gospodarskie. Trzej mężczyźni pędzili byczka w stronę stojącej obok mnie ciężarówki. Biedne zwierzę porykiwało, obracając na wszystkie strony łeb ze sznurem na szyi i zapierając się na widok platformy, na którą załadowano już innych jego pobratymców, ryczących i wystraszonych. Widziałem czerwone plamki w jego przerażonych ślepiach, gdy jeden z mężczyzn dźgnął go w bok widłami.

Dwie kobiety w czarnych szalach spierały się przy otwartym wozie, jedna z nich trzymała za nogi gdakającą przeraźliwie kurę; ta trzepotała w proteście skrzydłami i uderzała nimi o szeroki wiklinowy kosz wypełniony jabłkami, o który opierała się gospodyni. Podszedł do nich potężny niezdarny mężczyzna w orzechowobrązowym sztruksowym płaszczu, o czerwonej twarzy, mętным wzroku i chwiejnym kroku, zapewne od wypitego w pobliskim bistrze trunku. Człowiek ten mamrotał coś do siebie, patrząc na monety

w rozłożonej dłoni, mniej liczne, niż się spodziewał, wręcz nieliczne – w minionej godzinie, gorącej, zapoconej i zadymionej, najwyraźniej musiał się przeliczyć i teraz czekała go awantura z matką i żoną. Potrafiłem sobie wyobrazić rodzinne gospodarstwo mężczyzny, a przed nim jego ojca, dwa kilometry od głównej szosy bitą wyboistą drogą: niski budynek w jasnożółtym kolorze, kryty dachówkami, i zabudowania gospodarcze stanowiące ciemną plamę wśród płaskich brązowych pól, oznaczonych teraz rzędami dyń, limonkowiezielonych i łososiowych, okrągłych i twardych, które pozostawiono do wyschnięcia, zanim staną się zimową paszą dla bydła albo w postaci zupy pożywieniem dla ich właścicieli.

Minąłem ciężarówkę i przeszedłem przez Place des Jacobins do *brasserie** znajdującej się w jednym jego rogu. Nagle na pochmurnym niebie zaświeciło blade słońce i ludzie na placu, którzy w deszczu wyglądali jak czarne smugi, podobne do wron, skuleni i bezosobowi, stali się ruchomymi plamkami kolorów, uśmiechającymi się, gestykulującymi, krzątającymi się wokół swoich spraw z nową energią, gdy niebo pękło i ciemny dzień zamienił się w złoto.

W *brasserie* panował tłok. Powietrze, gęste jak zupa i gryzące, przesycił zapach smacznego jedzenia – sera na ubrudzonych sosem nożach, rozlanego wina, fusów gorzkiej kawy – oraz czegoś cuchnącego: przemoczonych, schnących teraz płaszczy, a całą tę scenerię spowijał niebieskawy dym gauloise’ów.

Znalazłem miejsce w dalszym kącie, przy wahadłowych drzwiach dla obsługi, i kiedy jadłem mój ciepły, aromatyczny omlet, rozlewając ziołowy sos po całym talerzu, te otwierały się raz w tę, raz w tamtą stronę, popychane niecierpliwie przez kelnerów, obładowanych tacami z piętrzącym się jedzeniem. Początkowo widok ten był jak aperitif, bo umierałem z głodu, później jednak, kiedy

* *Brasserie* (franc.) – piwiarnia, bar.

zjadłem posiłek, źle wpływał na moje trawienie – za dużo frytek, za dużo kotletów schabowych. Gdy poprosiłem o kawę, kobieta, która zajmowała miejsce obok mnie, wciąż brała do ust fasolkę na widelcu i wygłaszała siostrze wykład na temat kosztów utrzymania, ignorując bladą dziewczynkę, która siedziała na kolanach jej męża i domagała się, aby zaprowadzono ją do toalety. Rozmowa nie ustawała ani na chwilę i kiedy tak się jej przysłuchiwałem – bo takie rzeczy były moją jedyną rozrywką, gdy na chwilę przestawała mnie pochłaniać historia – znowu ogarnęła mnie kryjąca się pod pozornym rozbawieniem depresja. Czułem się obcy, nie byłem jednym z nich. Lata studiów, lata praktyki, płynność, z jaką mówiłem ich językiem, uczyłem ich historii, przedstawiałem ich kulturę, nie zbliżyły mnie jednak do nich samych. Byłem zbyt trudny, zbyt świadomy swojej rezerwy. Moja wiedza była książkowa, a codzienne doświadczenia nie głębsze niż ogląd turysty. Odczuwałem potrzebę wiedzy, ale także ból. Zapach ziemi, połysk mokrych dróg i blaknąca farba okiennic w oknach, przez które nie powinienem zaglądać, szare oblicza domów, przez których drzwi nie powinienem wchodzić, były dla mnie jak wieczna przygana, przypomnienie o dystansie, narodowości. Inni mogli wdrzeć się do środka i przełamać tę barierę, ja nie. Wiedziałem, że nigdy nie będę Francuzem, nigdy nie będę jednym z nich.

Rodzina siedząca obok mnie wstała i wyszła, gwar ucichł, dym się przerzedził, a *patron** i jego żona wreszcie usiedli za ladą, by zjeść obiad. Zapłaciłem, też wyszedłem i szwendałem się ulicami, a mój brak celu, błędzące spojrzenie, sam strój – szare flanelowe spodnie, tweedowa marynarka zbyt już wytarta ze starości – zdradzały, że jestem Anglikiem w przepychającym się tłumie mieszkańców prowincji w dzień targowy, którzy szukali okazji wśród wiszących na sznurkach okutych butów, fartuchów w czarne i białe groszki,

* *Patron* (franc.) – właściciel.

plecionych kapci, sosjerek i parasoli. Młode roześmiane dziewczyny trzymające się za ręce, z koafurami prosto od fryzjera; stare kobiety, przystające, oglądające towary, kręcące głowami na widok ceny kraciastych obrusów i idące dalej bez kupowania; młodzi mężczyźni o niebieskawych od zarostu brodach, w purpurowych garniturach, mierzący wzrokiem dziewczęta, dźgający się nawzajem łokciami, z nieodłącznym papierosem przyklejonym do warg; wszyscy oni na koniec dnia powrócą do swojskiego miejsca zwanego domem. Do cichych pól, będących ich własnością, porykujących zwierząt gospodarskich, mgły unoszącej się nad wilgotną ziemią, upstrzonych przez muchy kuchni, kota chlepczącego mleko obok kołyski, podczas gdy babka będzie gderać i gderać, a jej syn wyjdzie na błotniste podwórko, machając wiadrem.

Tymczasem ja, ponieważ czas mnie nie naglił, zająrzałem do kolejnego dziwnego hotelu i zostałem uznany za swojego, dopóki nie wyjąłem brytyjskiego paszportu; wtedy ukłon, uśmiech, prawdziwy pokaz uprzejmości i lekkie, pełne żalu wzruszenie ramion. „Mamy w tej chwili bardzo niewielu gości. Sezon się skończył. Całe to miejsce jest do pańskiej dyspozycji, *monsieur*” – co miało sugerować, że na pewno będę chciał dołączyć do gromady moich hałaśliwych rodaków, którzy stale noszą przy sobie aparaty fotograficzne, robią sobie nawzajem zdjęcia, pożyczają książki w broszurowych wydaniach, wymieniają się egzemplarzami „Daily Mail”. Nie wiedzieli – ci ludzie w hotelu, w którym spędziłem noc, podobnie jak tamci, których mijałem na ulicy – że nie mam ochoty ani na spotkanie z rodakami, ani na własne towarzystwo, natomiast pragnę szczęścia, które nie będzie mi dane, poczucia, że do nich przynależę, że wychowałem się wśród nich i uczyłem, związany więzami krwi, które by znali i je rozumieli. Dzięki temu, żyjąc pośród nich, mógłbym śmiać się z nimi, odczuwać ich smutki, jeść ich chleb – już nie chleb kogoś obcego, lecz mój i ich.

Szedłem dalej i znowu zaczął kropić deszcz, zaganiając ludzi do

sklepów i ciężarówek. Nikt nie spaceruje w deszczu, chyba że idzie gdzieś w interesach, jak poważni mężczyźni w kapeluszach trilby, z szerokimi rondami, którzy spieszyli do prefektury z teczkami pod pachą, podczas gdy ja stałem niepewnie na rogu Place Aristide Briand. Schroniłem się do Notre-Dame-de-la-Couture przy prefekturze. Kościół był pusty, z wyjątkiem modlącej się starszej kobiety, ze łzami jak perły w kącikach szeroko otwartych, ciekawskich oczu, a potem także dziewczyny w butach na wysokich obcasach, która, stukając nimi, przeszła szybko nawą zapalić świecę przed niebiesko-białą figurą. Wówczas, jakby zapadając się w ciemność przysłaniającą rozum, zrozumiałem, że później będę musiał się upić, bo inaczej umrę. Ile znaczy porażka? Być może nic dla mojego małego zewnętrznego świata, nic dla przyjaciół, którym się wydawało, że dobrze mnie znają, nic dla osób, które mnie zatrudniały, i dla studentów, którzy słuchali moich wykładów, nic dla urzędników w British Museum, dobrodusznym i uprzejmym, którzy mówili mi „dzień dobry” i „do widzenia”, nic dla łagodnych, życzliwych tępych londyńskich duchów, wśród których żyłem, oddychałem i poruszałem się jako praworządny, cichy trzydziestoosmioletni naukowiec. Ale dla siebie samego, który domagał się, aby ktoś go wyzwolił, dla tkwiącego we mnie człowieka? Czym dla niego były moje nędzne dokonania?

Kim był i skąd się wziął, jakie mógł mieć potrzeby i tęsknoty? – tego nie potrafiłem powiedzieć. Tak bardzo nie chciałem dopuścić go do głosu, że niewiele o nim wiedziałem; mógł jednak mieć szyderczy śmiech, nieczułe serce, porywczy temperament i sprośny język. Nie zamieszkiwał wypełnionej książkami kawalerki; nie budził się każdego ranka ze świadomością, że nie ma rodziny, więzów, zobowiązań, przyjaciół ani zainteresowań, które byłyby dla niego nieskończenie cenne, niczego, co stanowiłoby cel życia albo kotwicę, oprócz historii Francji i języka francuskiego, które jakimś sposobem szczęśliwie pozwalały mu zarabiać na chleb.

Niewykluczone, że gdybym nie trzymał go w zamknięciu, mógłby się śmiać, bawić, walczyć i kłamać. Może cierpiał, może nienawidził, może z powodu mojego okrucieństwa żył samotnie. Mógłby mordować, kraść – albo poświęcać się straconym sprawom, kochać ludzkość, wyznawać wiarę głoszącą boskość zarówno Boga, jak i człowieka. Niezależnie od swojej natury zawsze krył się pod niepozorną powierzchownością tego bladego typu, który siedział teraz w kościele Notre-Dame-de-la-Couture, czekając, żeby deszcz przestał padać, dzień się skończył, wakacje dobiegły kresu, przyszła jesień, powróciła znowu na kolejny rok, kolejny odcinek czasu codzienna rutyna jego zwykłego, bezbarwnego londyńskiego życia. Pozostawało tylko pytanie, jak odemknąć te drzwi. Jakim łomem go uwolnić? Nie było odpowiedzi – oczywiście, z wyjątkiem mglistego czasowego zamroczenia, w które mogła mnie wprowadzić butelka wina w kawiarni, zanim bym ponownie wsiadł do samochodu i ruszył na północ. Tu, w pustym kościele, alternatywą była modlitwa, ale modlitwa o co? Żeby podjąć chodzącą mi po głowie decyzję i pojechać do Abbaye, licząc, że tam odkryję, co począć z życiową klęską? Patrzyłem, jak stara kobieta zbiera się do wyjścia i opuszcza kościół, chowając różaniec w fałdach spódnicy. Jej łzy zniknęły, ale nie wiedziałem, czy wskutek pocieszenia, czy dlatego, że wyschły na policzkach. Pomyślałem o *carte Michelin** w moim samochodzie i niebieskim kółku, którym zaznaczyłem Abbaye de la Grande-Trappe. Po co to zrobiłem? Czego się spodziewałem po podróży w to miejsce? Powinienem zdobyć się na odwagę, żeby nacisnąć dzwonek u drzwi budynku, w którym kwaterowali gości? Może odpowiedzieliby na moje pytanie i pytanie tkwiącego we mnie tego drugiego...

Ruszyłem za starszą kobietą do wyjścia. Nagle zapragnąłem ją zapytać, czy jest chora, ostatnio owdowiała albo ma umierającego

* *Carte Michelin* (franc.) – mapa Michelin.

syna, i czy pomodliwszy się, odzyskała nadzieję. Jednak kiedy wyszedłem za drzwi i zbliżyłem się do niej, wciąż mamroczącej pod nosem, wzięła moje zatroskane spojrzenie za współczucie turysty i patrząc z ukosa, wyciągnęła rękę po jałmużnę. Dałem jej dwieście franków, gardząc własną małością, i uciekłem od niej rozczarowany.

Deszcz ustał. Na niebie rozciągały się czerwone wstęgi, a mokre ulice lśniły. Ludzie na rowerach wracali z pracy do domu. Ciemny dym z kominów fabrycznych w dzielnicy przemysłowej wydawał się czarny i ponury na przemytym niebie.

Straciłem poczucie kierunku, odchodząc od sklepów i bulwarów ulicami, które zdawały się prowadzić donikąd i zbiegać, obserwowane krzywym okiem przez mury fabryczne i wysokie szare budynki, i wiedziałem, że to, co robię, nie ma sensu: powinienem albo pójść po samochód i wynająć pokój na noc w jednym z hoteli w centrum, albo opuścić Le Mans i pojechać przez Mortagne do la Grande-Trappe. Ze zdziwieniem ujrzałem przed sobą dworzec kolejowy i przypomniałem sobie, że samochód oraz katedra znajdują się po drugiej stronie miasteczka. Oczywiście wyjściem z sytuacji było złapanie taksówki, żeby tam wrócić, ale najpierw musiałem napić się w bufecie dworcowym i podjąć decyzję w związku z la Grande-Trappe. Przeszedłem przez ulicę, jakiś samochód gwałtownie skręcił, by mnie ominąć, i zaraz potem się zatrzymał. Kierowca wychylił się z okna i zawołał do mnie po francusku:

– Hej, Jean, kiedy wróciłeś?!

To, że sam miałem na imię John, zbiło mnie z tropu. Przez chwilę pomyślałem, że musiałem gdzieś poznać tego człowieka i powinienem wiedzieć, kim jest, więc odkrzyknąłem, także po francusku:

– Jestem tu tylko przejazdem... wyjeżdżam wieczorem! – zastanawiając się jednocześnie, kim on może być, do diabła.

– Stracony czas, jak sądzę – odparł – ale w domu powiesz, że ci się udało!

Ta uwaga była obraźliwa. Dlaczego uważał, że zmarnowałem urlop? I skąd, do licha, wiedział o moim głębokim poczuciu osobistej porażki?

Wtedy zdałem sobie sprawę, że go nie znam. Nigdy wcześniej go nie widziałem. Skłoniłem uprzejmie głowę, wymawiając się.

– Proszę mi wybaczyć – powiedziałem – ale obawiam się, że obaj się pomyliliśmy.

Ku mojemu zdumieniu się zaśmiał, puścił do mnie oko i odrzekł:

– Dobrze, udawajmy, że się nie widzieliśmy. Ale po co robić w Le Mans coś, co można zrobić lepiej w Paryżu? Zapytam cię o to, gdy się spotkamy znowu w następną niedzielę.

Wrzucił bieg i odjechał ze śmiechem.

Patrzyłem, jak samochód znika, i poszedłem do dworcowego bufetu. Jeśli mężczyzna się upił i był na rauszu, to wszystko wyjaśniało. Mogłem pójść za jego przykładem. Bufet był pełny. Ludzie albo wsiadali do pociągów, albo z nich wysiadali. Rozmawiający ze sobą podróżni odpychali mnie łokciami od baru. Bagaze waliły mnie po łydkach. Rozlegały się gwizdy, ogłuszający pisk wjeżdżającego na stację ekspresu złał się z posapywaniem pociągu miejscowego, psy na smyczach szczekały, dziecko płakało. Pomyślałem tęsknie o moim samochodzie zaparkowanym przy katedrze: usiadłbym sobie w nim spokojnie, rozłożyłbym mapę Michelina i zapaliłbym papierosa.

Gdy piłem, ktoś trącił mnie w łokieć i powiedział:

– *Je vous demande pardon**.

Kiedy się przesunąłem, żeby zrobić dla niego miejsce, odwrócił się, wtedy spojrzałem na niego, a on na mnie, i uświadomiłem sobie z dziwnym zaskoczeniem, przestachem i nagłym przypływem młdości, że jego twarz i głos są mi znane aż za dobrze.

Patrzyłem bowiem na siebie.

* *Je vous demande pardon* (franc.) – przepraszam pana.

2

Żaden z nas się nie odezwał, tylko patrzyliśmy na siebie. Słyszałem, że takie rzeczy się zdarzają; ludzie spotykają się przypadkowo i okazuje się, że są kuzynami, którzy stracili z sobą kontakt, albo bliźniętami, rozdzielonymi zaraz po urodzeniu. I cała ta historia jest zabawna albo tragiczna, jak w przypadku człowieka w żelaznej masce.

To nie było zabawne. Podobieństwo między nami sprawiło, że zrobiło mi się trochę niedobrze, przypomniały mi się chwile, gdy przechodząc obok witryny sklepowej, nagle dostrzegałem własne odbicie i patrzący na mnie z szyby mężczyzna był groteskową karykaturą osoby, za którą zarozumiał się miałem. Po takich incydentach czułem się przywołany do porządku, obolały, urażony w swojej dumie, nigdy jednak nie przebiegał mnie lodowaty dreszcz, jak podczas tego spotkania, ani nie miałem ochoty odwrócić się i uciec.

On pierwszy przerwał ciszę.

- Czy przypadkiem nie jest pan diabłem?
- Mógłbym zadać to samo pytanie panu – odrzekłem.
- Chwileczkę...

Wziął mnie za rękę i przyciągnął bliżej lady. Chociaż lustro za barem było zaparowane, częściowo zasłonięte butelkami i

kieliszkami i dezorientujące z powodu wielu innych odbijających się w nim głów, ukazało nas całkiem wyraźnie, gdy tak staliśmy obok siebie, spięci, zaniepokojeni, spoglądający w lustrzaną taflę, jakby nasze życie zależało od tego, co z niej wyczytamy. I odpowiedzią było nie przypadkowe podobieństwo, nie powierzchowna zbieżność cech, którą zakłóca inny kolor oczu czy włosów, pewna odmienność rysów, wyrazu twarzy, wzrostu, szerokości ramion; nie, można było odnieść wrażenie, że stoi tam jeden i ten sam człowiek.

– Wyznaję zasadę, że nic w życiu nie może mnie zaskoczyć, i nie ma powodu, abym teraz od niej odstąpił – powiedział i nawet intonacja jego głosu wydała mi się taka sama jak moja. – Czego się pan napije?

Byłem zbyt poruszony, żeby odpowiedzieć. Poprosił więc o dwie *fines** i podeszliśmy jednocześnie do dalszego końca baru, gdzie lustro było mniej zaparowane, a przepychający się tłum nieco mniejszy.

Moglibyśmy być dwoma aktorami, oglądającymi swój makijaż, gdy przenieśliśmy wzrok z lustra na siebie wzajemnie. On się uśmiechnął i ja się uśmiechnąłem; potem on zmarszczył czoło i ja poszedłem za jego przykładem, czy raczej swoim; on poprawił krawat i ja zrobiłem to samo; obaj jednym haustem wypiliśmy naszą brandy, żeby zobaczyć, jak wyglądamy podczas picia.

– Lubi pan przygody? – zagadnął.

– Nie – odparłem. – A dlaczego?

– Moglibyśmy występować w cyrku albo zbić majątek w kabarecie. Jeśli nie musi pan natychmiast wsiąść do pociągu, proponuję, żebyśmy jeszcze się napili. – Zamówił dwie następne *fines*. Nikt nie wydawał się zdziwiony naszym podobieństwem.

– Biorą pana za mojego brata bliźniaka, który przyjechał po mnie na stację – wyjaśnił. – Być może się nie mylą. Skąd pan jest?

* *Fine* (franc.) – brandy.

- Z Londynu – odpowiedziałem.
- Robi pan tam interesy?
- Nie, mieszkam tam. I pracuję.
- Chodzi mi o to, gdzie jest pański dom, z jakiej części Francji pan pochodzi.

Wtedy zdałem sobie sprawę, że bierze mnie za Francuza, takiego jak on sam.

- Jestem Anglikiem – wyjaśniłem. – Tak się składa, że studiuję pański język.

Uniósł brwi.

- Moje gratulacje – powiedział. – Nigdy bym nie pomyślał, że jest pan cudzoziemcem. Co pan robi w Le Mans?

Wyjaśniłem, że kończy mi się urlop, i opowiedziałem mu pokrótce o swojej podróży po Francji. Zaznaczyłem, że jestem historykiem i że wykładam w Anglii o jego kraju i jego dziejach.

Wydawał się rozbawiony.

- Tak zarabia pan na życie?
- Owszem.
- Niewiarygodne – orzekł i poczęstował mnie papierosem.
- Wy też macie historyków, którzy zajmują się tym samym – zwróciłem mu uwagę. – W gruncie rzeczy w pańskim kraju naukę traktuje się znacznie poważniej niż w moim. We Francji są tysiące historyków, którzy badają dzieje.

– Oczywiście – odparł – ale wszystko to Francuzi, którzy zajmują się Francją. Nie Francuzi, którzy przepływają przez kanał, żeby spędzić za nim urlop, a potem wrócić i wykladać o Anglii. Nie rozumiem, dlaczego tak pana interesuje mój kraj. Dobrze panu płacą?

- Nieszczególnie.
- Jest pan żonaty?
- Nie. W ogóle nie mam rodziny. Jestem samotny.
- Szczęściarz z pana. – Powiedział to z emfazą i podniósł

kieliszek. – Za pańską wspaniałą wolność – wzniósł toast. – Niech trwa jak najdłużej.

– A pan?

– Ja? – zapytał. – Och, ja jestem mężem i ojcem. Jak najbardziej. Wpadłem wiele lat temu. Mogę nawet powiedzieć, że nigdy nie udało mi się z tego wyrwać. Tylko podczas wojny.

– I jest pan także człowiekiem interesu?

– Mam własne przedsiębiorstwo. Mieszkam około trzydziestu kilometrów stąd. Był pan w Sarthe?

– Lepiej znam rejony na południe od Loary. Powinienem poznać także Sarthe, ale jadę na północ. Będę musiał to zrobić innym razem.

– Szkoda. To mogłoby być zabawne... – Nie dokończył myśli, lecz zapatrzył się w kieliszek. – Ma pan samochód?

– Tak, zostawiłem go przy katedrze. Zgubiłem się, gdy tak spacerowałem, dlatego w końcu znalazłem się tu, na dworcu.

– Zostaje pan w Le Mans na noc?

– Nie wiem. Nie miałem takiego zamiaru. Właściwie... – Urwałem. Od brandy zrobiło mi się w środku przyjemnie ciepło i miałem wrażenie, że to, co powiem temu człowiekowi, nie ma znaczenia; to tak samo, jakbym mówił do siebie. – Właściwie myślałem o tym, by spędzić kilka dni w la Grande-Trappe.

– La Grande-Trappe? – powtórzył. – Ma pan na myśli klasztor Cystersów w pobliżu Mortagne?

– Tak – potwierdziłem. – To chyba nie więcej niż osiemdziesiąt kilometrów stąd.

– Na miłość boską, po co chce pan tam jechać?!

To było dobrze sformułowane pytanie. Powodem, dla którego ludzie jeździli do la Grande-Trappe, była właśnie miłość boska. A przynajmniej tak mi się zdawało.

– Pomyślałem, że jeśli tam pojadę i zostanę jakiś czas przed powrotem do Anglii, to może znajdę w sobie odwagę, aby dalej żyć.

Popatrzył na mnie w zamyśleniu, popijając swoją brandy.

– W czym problem? – zapytał. – Chodzi o kobietę?

– Nie – zaprzeczyłem.

– Pieniądze?

– Nie.

– Wpadł pan w jakieś kłopoty?

– Nie.

– Ma pan raka?

– Nie.

Wzruszył ramionami.

– Może jest pan pijakiem – podjął – albo homoseksualistą. Albo lubi pan cierpieć. Musi być z panem naprawdę coś nie tak, skoro chce pan jechać do la Grande-Trappe.

Ponownie zerknąłem w lustro za jego plecami. I wtedy, po raz pierwszy, zauważyłem różnicę między nami. Nie chodziło o strój, jego ciemny garnitur podróżny i moją tweedową marynarkę, które nas różniły; tylko o jego swobodny sposób bycia, kontrastujący z moim posępnym nastrojem. Ja nigdy tak nie wyglądałem, nie mówiłem ani się nie uśmiechałem.

– Nic mi nie jest – odparłem. – Po prostu nie powiodło mi się w życiu jako człowiekowi.

– Jak nam wszystkim – skomentował. – Panu, mnie, wszystkim tym ludziom, tu, w bufecie dworcowym. Wszyscy jesteśmy nieudacznikami. Sekret życia polega na tym, żeby wcześniej to zrozumieć i pogodzić się z tym. Wtedy to przestaje uwierać.

– Ależ nie, wciąż uwiera – zaprotestowałem. – I ja się z tym nie pogodziłem.

Dopił brandy i spojrzał na zegar wiszący na ścianie.

– Nie ma potrzeby, żeby pan od razu jechał do la Grande-Trappe. Dobrzy braciszkwowie czekają na wieczność, więc mogą poczekać na pana jeszcze kilka godzin. Przenieśmy się gdzieś, gdzie będzie nam się lepiej piło. Może coś zjemy, bo jako mężowi i ojcu nie bardzo

spiesz mi się do domu.

Wtedy przypominałem sobie tamtego człowieka, który przed dworcem zawołał do mnie z samochodu.

– Ma pan na imię Jean? – zapytałem.

– Tak – odparł. – Nazywam się Jean de Gué. A dlaczego?

– Ktoś wziął mnie za pana tam, przed dworcem. Jakiś facet w samochodzie zawołał: „Hej, Jean!”, a kiedy mu powiedziałem, że się pomylił, wydawał się bardzo rozbawiony i najwyraźniej pomyślał, że nie chcę, by mnie rozpoznano... czy raczej pan tego nie chce.

– To by mnie wcale nie zdziwiło. Co pan zrobił?

– Nic. Ten mężczyzna odjechał ze śmiechem, wołając, że zobaczymy się w niedzielę.

– A tak. *La chasse**...

Moje słowa musiały skierować jego myśli na inny tor, bo zmienił mu się wyraz twarzy. Pożałowałem, że nie umiem czytać w myślach. Jego niebieskie oczy się zachmurzyły i zacząłem się zastanawiać, czy ja też tak wyglądam, gdy zaprzęta mnie jakiś niełatwy do rozwiązania problem.

Gestem przywołał tragarza, który przed wahadłowymi drzwiami bufetu czekał cierpliwie z dwiema walizkami.

– Powiedział pan, że zostawił samochód przy katedrze?

– Tak – potwierdziłem.

– Więc jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, żebym zabrał walizki, moglibyśmy po niego pojechać i wybrać się gdzieś na kolację.

– Oczywiście. Cokolwiek pan sobie życzy.

Dał napiwek tragarzowi, wezwał taksówkę i wsiedliśmy do niej. To było dziwne jak sen. Śniąc, często bywałem cieniem i patrzyłem na siebie z boku jak na uczestnika wydarzeń. Teraz to działało się naprawdę i byłem tak samo pozbawiony materialnej postaci, tak

* *La chasse* (franc.) – polowanie.

samo pozbawiony woli.

- Więc dał się nabrać?
- Kto?

Przestraszył mnie jego głos, jak głos sumienia, bo od chwili, gdy zajęliśmy miejsca w taksówce, nie odzywaliśmy się do siebie.

- Ten mężczyzna, który zaczepił pana przed stacją – wyjaśnił.

– O tak, całkowicie. Pewnie wypomni to panu, gdy się spotkacie. Teraz sobie przypominam... wiedział, że pan wyjechał, bo wspomniał o nieudanej podróży. Czy coś to panu mówi?

- Aż za dobrze.

Nie drażyłem dalej tego tematu. To nie była moja sprawa. Po chwili zerknąłem na niego na wpół ukradkiem i zobaczyłem, że on też spogląda na mnie dyskretnie. Nasze spojrzenia się spotkały i zamiast uśmiechnąć się odruchowo z powodu łączącego nas podobieństwa, poczułem się nieprzyjemnie, jakbym zetknął się z czymś niebezpiecznym. Odwróciłem wzrok i spojrzałem za okno, a gdy taksówka gwałtownie skręciła i zatrzymała się przed katedrą, rozległo się niskie, poważne bicie dzwonów na Anioł Pański. Ta chwila zawsze mnie poruszała. Wezwanie za każdym razem było niespodziewane i w dziwny sposób niepokojące. Tego wieczoru, kiedy wysiadaliśmy z taksówki, brzmiało jak wyzwanie, głośnie i natarczywe. Potem przebrzmiało, zamieniając się w pomruk, pomruk przeszedł w szept, a szept w wyrzut. Przez drzwi katedry weszły dwie-trzy osoby. Podeszedłem do samochodu i otworzyłem go. Mój towarzysz czekał, patrząc na wóz z zainteresowaniem.

- Ford consul – zauważył. – Który rocznik?

- Mam go dwa lata. Około piętnastu tysięcy na liczniku.

- Jest pan z niego zadowolony?

– Bardzo. Rzadko z niego korzystam, przeważnie tylko w weekendy.

Gdy wkładałem jego dwie walizki do bagażnika, zadawał mi różne pytania na temat samochodu, przejawiając zaciekawienie

chłopca, który chce wypróbować nową maszynę. Przesunął palcami po włącznikach, pomacał siedzenia, żeby wypróbować sprężyny, poruszał dźwignią zmiany biegów i powcisnął wskaźniki, a na koniec zapytał w przypływie entuzjazmu, czy mógłby poprowadzić wóz.

– Oczywiście – odrzekłem. – Zna pan to miasteczko lepiej niż ja. Proszę bardzo.

Pewnie zajął miejsce za kierownicą, a ja usiadłem obok. Ruszając spod katedry i wyjeżdżając na rue Voltaire, nie przestawał się zachwycać i mamrotał pod nosem jak uczeń:

– Świetny, wspaniały!

Wyraźnie cieszył się każdą chwilą tej, jak miało się wkrótce okazać, szaleńczej przejażdżki, przynajmniej dla mnie, bo zwykle jeździłem o wiele ostrożniej. Kiedy na pierwszych światłach przejechaliśmy przez skrzyżowanie tak szybko, że jakiś starszy pan uskokzył przed nami, by uratować życie, a potem zmusiliśmy dużego buicka, prowadzonego przez rozwścieczonego Amerykanina, do zjazdu na drugą stronę ulicy, mój towarzysz kontynuował objazd po mieście, żeby – jak wyjaśnił – wyczuć samochód.

– Wie pan – powiedział – ogromnie lubię testować cudzą własność. To jedna z największych przyjemności w życiu.

Zamknąłem oczy, gdy wzięliśmy ostry zakręt niczym bobslej.

– A pan tymczasem pewnie umiera z głodu – zauważył.

– Wcale nie – wymamrotałem. – Jestem do pańskiej dyspozycji.

Gdy to mówiłem, zdałem sobie sprawę, że język francuski jest zbyt gładki, zbyt uprzejmy.

– Myślałem o tym, żeby zabrać pana do jedynej restauracji w miasteczku, gdzie można naprawdę dobrze zjeść – powiedział – ale zmieniłem zamiar. Jestem tu znany, a dziś mam ochotę zachować anonimowość. Nie codziennie człowiek spotyka samego siebie.

Jego słowa znowu wzbudziły we mnie niepokój, który czułem już wcześniej w taksówce. Żaden z nas nie chciał afiszować się z

istniejącym między nami podobieństwem. Uświadomiłem sobie nagle, że wołałbym, by mnie z nim nie widziano. Nie chciałem, żeby przyglądali nam się kelnerzy. Miałem wrażenie, że jest w tym coś podejrzanego i wstydliwego. Było to dziwne uczucie. On tymczasem, gdy zbliżyliśmy się do centrum miasteczka, zaczął zwalniać.

– Może jednak nie pojedę dziś do domu – oznajmił – i przenocuję w hotelu. – Jakby myślał na głos. Chyba nie oczekiwał odpowiedzi. – Gdy zjemy kolację – ciągnął – będzie trochę za późno, żeby dzwonić po Gastona z samochodem. Poza tym dziś jeszcze się mnie nie spodziewają.

Sam często wymyślałem tego rodzaju wymówki, kiedy czekało mnie coś nieprzyjemnego. Ciekaw byłem, dlaczego tak mu się nie chce wracać do domu.

– A pan... – Zwrócił się do mnie, gdy czekaliśmy, aż zmienia się światła. – Nie musi pan jechać do la Grande-Trappe. Pan także mógłby przenocować w hotelu.

Mówił dziwnym głosem. Można by odnieść wrażenie, że bada grunt w celu zawarcia jakiegoś porozumienia, znalezienia wyjścia z sytuacji, której żaden z nas w pełni nie rozumiał, i kiedy kierował na mnie wzrok, to jakby mnie sondował, a jednocześnie w jego oczach było coś nieszczerego, obłudnego.

– Czemu nie – odparłem. – Jeszcze nie wiem.

Przejechał przez centrum miasteczka, już nie taki rozentuzjasmowany, lecz raczej skupiony. Nie zatrzymał się przed żadnym z większych hoteli, które zauważyłem w ciągu dnia, dotarł natomiast do dzielnicy, w której zabudowania wydawały się bardziej szare, ponure, rozsiane wśród obiektów przemysłowych, zakładów i magazynów. W mniejszych uliczkach znajdowały się tanie hoteliki, nędzne przybytki, w których można było wynająć pokój na noc albo na godzinę, gdzie nie wymagano okazania paszportu ani o nic nie pytano.

– Tu jest spokojniej – orzekł i wciąż nie potrafiłem powiedzieć, czy mówi do mnie, czy głośno myśli. Ale nie byłem szczególnie zachwycony, gdy zatrzymał samochód przed obskurnym domem, stojącym między dwoma równie brzydkimi budynkami. Nad nieodmkniętymi drzwiami widniał oświetlony niebieskawym przyćmionym światłem szyld „Hotel”, ostrzegając przed tym, co się kryło wewnątrz.

– Czasami takie miejsca się przydają – stwierdził. – Nie zawsze człowiek ma ochotę wpaść na znajomych.

Nie odpowiedziałem. Wyłączył silnik i otworzył drzwi.

– Idzie pan ze mną? – zapytał.

Nie bardzo mnie ciągnęło, by spenetrować tajemnice *tout confort**, jak głosił dalej szyld, już mniejszym drukiem, pod niebieskawym światłem, ale wysiadłem z samochodu i wyjąłem z bagażnika jego walizki.

– Nie, dziękuję – odparłem. – Ale niech pan wejdzie do środka i wynajmie pokój, jeśli pan chce. Ja najpierw bym coś zjadł, a potem zdecyduję, co dalej.

Wolałem jednak pojechać na północ – do Mortagne, a potem boczną drogą do Abbaye de la Grande-Trappe.

– Jak pan sobie życzy. – Wzruszył ramionami.

Zapaliłem więc papierosa i patrzyłem, jak pcha drzwi i wchodzi do hotelu. Alkohol, który wypilem w bufecie dworcowym, zaczął działać. To, co się wydarzyło, wydawało mi się zupełnie nierealne i w stanie lekkiego zamroczenia zadałem sobie pytanie, co ja właściwie robię w tej nieatrakcyjnej uliczce w Le Mans, czekając na człowieka, którego jeszcze przed godziną nie znałem, który wciąż był dla mnie nieznanym, ale który, z powodu przypadkowego podobieństwa, przejął kontrolę nad tym wieczorem, kierując jego biegiem na dobre czy złe. Zastanawiałem się, czy nie powinienem wsiąść szybko do

* *Tout confort* (franc.) – wszelkie wygody.

samochodu i odjechać, zakończyć tę całą znajomość, która choć początkowo fascynująca, teraz wydawała mi się złowroga, a nawet groźna. Właśnie wyciągałem rękę do stacyjki, kiedy wrócił.

– Załatwione – oznajmił. – Chodźmy coś zjeść. Nie musimy ruszać wozu. Znam pewne miejsce tuż za rogiem.

Nie potrafiłem na poczekaniu wymyślić pretekstu, żeby się go pozbyć, więc gardząc sobą z powodu własnej słabości, ruszyłem za nim ulicą jak cień.

Zaprowadził mnie do lokalu przy następnej ulicy, na wpół restauracji, na wpół bistra. Wejście niemal kompletnie zastawiono rowerami – musiała się tam mieścić siedziba jakiegoś klubu kolarskiego – a w środku pełno było młodych ludzi w kolorowych swetrach, którzy śpiewali i krzyczeli, podczas gdy garstka starszych mężczyzn, robotników, grała przy stole w kości. Mój towarzysz śmiało przepchnął się przez ten tłum i usiedliśmy przy stoliku za wysłużonym ekranem, w miejscu, gdzie ożywione głosy młodzieży zagłuszało trzeszczące radio.

Patron, kelner i barman w jednej osobie wcisnął mi do rąk nieczytelną kartę dań. Przede mną znalazły się kieliszek wina i talerz zupy, której nie zamawiałem; straciłem rachubę czasu, sufit zaczął zlewać się z podłogą, a mój towarzysz pochylał się nad stołem, wznosząc kieliszek, i mówił:

– Za pański pobyt w la Grande-Trappe.

Czasami po czwartym kieliszku następuje przejaśnienie w zaćmieniu wywołanym przez poprzednie trzy i kiedy tak jadłem oraz piłem, twarz znajdująca się przede mną nabrała ostrości, przestała być groźna i niebezpieczna, stała się natomiast przyjazna i znajoma jak moja własna w lustrze; uśmiechała się, gdy ja się uśmiechałem, marszczyła brwi, gdy ja je marszczyłem, wciągała mnie w rozmowę, skłaniała do wyznań, więc zacząłem mówić o samotności, śmierci, pustce w życiu prywatnym, niepewności, braku jakichkolwiek uczuć i emocji.

– Więc tam, w la Grande-Trappe – słyszałem własny głos – gdzie żyje się w milczeniu, na pewno znają odpowiedzi na te pytania, wiedzą, jak wypełnić pustkę, ponieważ sami świadomie wkroczyli w ciemność, żeby odnaleźć światło... podczas gdy ja... – Przerwałem, starając się sprecyzować myśli, bo usiłowałem mu powiedzieć to, co miało dla nas obu zasadnicze znaczenie. – Innymi słowy – podjąłem – tam, w la Grande-Trappe, może nie udzieliliby mi odpowiedzi, ale na przykład wskazali, gdzie jej szukać; bo chociaż każdy z nas sam musi znaleźć rozwiązanie swoich problemów, jak klucz do zamka, przecież niewykluczone, że istnieją rozwiązania uniwersalne, tak jak istnieje klucz uniwersalny.

Jego niebieskie oczy, niepoważne i pełne rozbawienia, nie odzwierciedlały mojego pijackiego nastroju, wyrażały natomiast powątpiewanie, stanowiące typową dla niego reakcję, a w dalszej kolejności drwinę.

– Nie, mój przyjacielu – odpowiedział. – Gdyby pan wiedział na temat religii tyle co ja, uciekałby pan od niej jak od zarazy. Mam siostrę, która tylko o niej myśli. Nauczyłem się w życiu jednego: że głównym motywem ludzkiego postępowania jest chciwość. To ona rządzi insektami, zwierzętami, mężczyznami, kobietami, dziećmi. Może to nieładne, ale cóż? Cała rzecz w tym, żeby zaspokajać tę potrzebę, dawać ludziom to, czego chcą. Problem jednak polega na tym, że nigdy im to nie wystarcza. – Westchnął i nalał sobie kolejny kieliszek wina. – Narzeka pan, że jego życie jest puste – ciągnął. – Mnie wydaje się rajem. Mieszkanie tylko dla siebie, żadnych więzów rodzinnych, żadnych kłopotów zawodowych, do dyspozycji wszelkie rozrywki, jakie oferuje Londyn... choć mnie osobiście Londyn nie wydał się taki zabawny, gdy byłem tam na uchodźstwie w czasie wojny, ale tak czy owak, miasto jest duże i panuje w nim swoboda. Człowiek się w nim nie dusi.

Głos mu się zmienił, stał się twardszy, a w jego oczach pojawiły się niechęć, zniecierpliwienie – była to pierwsza oznaka, że także

miał problemy osobiste, z którymi nie chciał się zmierzyć. Pochylił się nad stołem i stwierdził:

– Ma pan wszystko, czego potrzeba do szczęścia, i nie jest pan zadowolony. Jak pan mówił, pańscy rodzice dawno zmarli i nikt nie może mieć do pana żadnych roszczeń. Jest pan wolnym człowiekiem, może się pan budzić, jeść i pracować sam. Niech pan pomyśli o tym wszystkim i zapomni o tym absurdalnym pomysle z la Grande-Trappe.

Jak wszyscy samotni ludzie stałem się w reakcji na życzliwość za bardzo gadatliwy i niedyskretny. On wiedział niemal wszystko o moim nudnym życiu, podczas gdy ja o jego nic.

– Dobrze więc – odrzekłem – teraz pańska kolej na wyznania. Na czym polega pański problem?

Przez chwilę wydawało mi się, że zamierza mi powiedzieć. Coś pojawiło się w jego oczach, może błysk niepewności, a potem zniknęło, wyparte przez wyrozumiały uśmiech i wzruszenie ramion.

– Och, mój problem! – wykrzyknął. – Mój problem polega na tym, że mam za dużo spraw na głowie. Ziemskich spraw.

Lekceważący gest, jakim zapalił papierosa, stanowił ostrzeżenie, żebym go dalej nie wypytywał. Mogłem zamknąć się w sobie, jeśli chciałem, i pogrążyć się w swoim wisielczym nastroju, ale nie wolno mi było mieszać się do jego życia. Skończyliśmy jeść, ale wciąż siedzieliśmy tam, pijąc dalej i paląc; od czasu do czasu przez męczące śpiewy z radia dolatywał do nas gwar rozmów rozbawionych chłopców z rowerami, szuranie krzeseł i podniesione głosy robotników grających w kości.

Zamilkłem, bo nagle nie miałem nic do powiedzenia i zdałem sobie sprawę, że on cały czas mi się przygląda, co mnie dziwnie krępowało. Kiedy powiedział, że musi zatelefonować do domu, wstał i odszedł od stolika, poczułem ulgę, jakby pod jego nieobecność od razu łatwiej mi się oddychało.

– I jak? – rzuciłem, gdy wrócił, co było raczej komentarzem niż

pytaniem, a wtedy on odpowiedział krótko:

– Poprosiłem, żeby jutro przysłali po mnie samochód.

Zawołał właściciela, zapłacił rachunek, zbywając moje słabe protesty machnięciem ręki, po czym wziął mnie pod ramię i wyprowadził na ulicę, torując sobie drogę wśród śpiewających młodych ludzi.

Na dworze było ciemno i znowu padało. Wszędzie pusto. Nie ma nic bardziej przygnębiającego niż obrzeża prowincjonalnego miasteczka w deszczowy wieczór, więc wymamrotałem, że muszę znaleźć samochód i ruszać w drogę, że jestem pod wrażeniem naszego spotkania, ale on wciąż trzymał mnie pod ramię.

– Nie mogę pozwolić panu tak po prostu odejść – powiedział.
– To zbyt wyjątkowe, zbyt dziwne.

Znowu znaleźliśmy się przy wejściu do obskurnego ponurego hotelu, w którym wynajął pokój; zerknąłem przez wciąż otwarte drzwi i zobaczyłem, że w recepcji nikogo nie ma. On także to zauważył, obejrzał się przez ramię i powiedział szybko:

– Chodźmy na górę. Napijmy się jeszcze po jednym, zanim pan sobie pójdzie.

Mówił napiętym, natarczywym głosem, jakbyśmy nie mieli czasu do stracenia. Zaprotestowałem, ale on wręcz zaciągnął mnie po schodach na górę i dalej przez korytarz. Wyjął z kieszeni klucz, otworzył drzwi i włączył światło w małym, smętnym pojedynczym pokoju.

– Proszę – odezwał się. – Niech pan usiądzie i rozgości się jak u siebie w domu.

Usiadłem więc na łóżku, ponieważ na krześle leżała jego otwarta walizka. Zdążył wyjąć z niej piżamę, szczotki do włosów i parę kapci, a teraz wydobyl butelkę i nalał koniaku do szklanki z łazienki. Znowu sufit zlał mi się z podłogą, tak jak wcześniej w bistrze, i miałem wrażenie, że to, co się dzieje, to przeznaczenie, coś nieuniknionego, i że nigdy się już nie rozstaniemy: ani ja z nim,

ani on ze mną; że zejdzie ze mną na ulicę, wsiądziemy razem do samochodu i nigdy się go nie pozbędę. Był moim cieniem, albo ja jego, i staliśmy się ze sobą złączeni już na wieczność.

– O co chodzi? Źle się pan czuje? – zapytał, zaglądając mi w oczy.

Wstałem, rozdarty między pragnieniem, żeby otworzyć oczy i uciec po schodach, a chęcią, by stanąć znowu obok niego, jak wtedy w bufecie dworcowym, i spojrzeć w lustro. Wiedziałem, że to pierwsze byłoby mądre, a drugie – niebezpieczne, a jednak nie miałem wyjścia, musiałem to przeżyć jeszcze raz. Chyba domyślił się moich zamiarów, bo jednocześnie zwróciliśmy się ku sobie i obrzuciliśmy się wzrokiem. I tam, w tym cichym pokoiku, nasze podobieństwo stało się jeszcze bardziej niezwykle, bardziej niesamowite niż w zatłoczonym bufecie, z tym całym hałasem, dymem i gwarem rozmów, czy też w bistrze, gdzie o tym nie myślałem. Ten okropny pokój z wzorzystą tapetą i skrzypiącą podłogą był jak grobowiec, odcięty od świata; trafiliśmy do niego obaj i nie miałem gdzie uciec. Wetknął mi w drżącą rękę szklankę z koniakiem, a sam pociągnął łyk z butelki, po czym powiedział głosem równie niepewnym jak mój – a może to ja powiedziałem, a on słuchał?

– Może włożę pańskie ubranie, a pan włoży moje?

Gdy padałem na podłogę, jeden z nas się zaśmiał.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).